

TRYBUNA LUDU

Pl. Starynkiewicza 7
02-015 Warszawa

Nr 0

z dn 4 - 5 - 04 - 87

665

Zza okna

Bałucki co pisał śtucki

PUBLICZNOŚCI naszej został ostatnio przypomniany Michał Bałucki. W warszawskim teatrze Rozmaitości, Ignacy Gogolewski wyreżyserował „Dom otwarty”, a przed wielomilionową widownią telewizja zaprezentowała rzadko graną komedię „Sąsiedzi”, przygotowaną przez Jerzego Wróblewskiego. Powiedziałem „rzadko graną”, lecz odnosi się to już do naszych czasów, gdyż w latach osiemdziesiątych tamtego stulecia „Sąsiedzi” oblecieli wiele scen krajowych a także zagranicznych.

Bo oto w tym roku mija 150 lat od urodzin autora „Ciężkich czasów”, który, w skąpym raczej komediopisarstwie polskim, miał dobre miejsce. Czy tylko miał? Przecież jego sztuki są stale na ajszu. Jednak, gdy spotykamy się z nimi teraz, u schyłku dwudziestego wieku, dostrzegamy, jak odległy jest od nas ich obyczaj, jak wywierała ostrość obserwacji satyrycznej, jak zbladła cała ta komedia charakterów. A jednak Bałucki wciąż wraca na scenę.

Dlaczego? Myślę, że przede wszystkim dla zdrowia aktorskiego i kondycji technicznej naszego teatru. Jest bowiem w zapisie autora „Klubu kawalerów” dokumentacja epoki określonej przez obyczaj mieszczański XIX wieku, dokumentacja sposobu życia i stylu niezwykle, powiedziałbym, smakowitego teatralnie. Uwierzytelnionego w dodatku przez legendarne sceny Koźmiana, Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i Solkiego i gwiazdozbiór aktorski Rapackich, Leszczyńskich, Kamińskich, Frenklów, Trapszów i kogo tam jeszcze. Tę stylistykę przekazywaną z pokolenia na pokolenie, nie tak znowu starzy krakowianie pamiętają jeszcze sprzed lat trzydziestu. Jej znakomite powtórzenia. Teraz teatr niestety, wiele zapominał z tego mistrzostwa, ale instynktownie wyczuwa, iż jego wigor, jego życie i bogactwo zależy także od pielęgnowania tradycji.

No tak, ale jak się przebić przez martwość tekstu? I znowu szuka się sposobu. Jeden podpowiedział już dawno Boy Zelenki, doradzając „dla bezpieczeństwa mocną obsadę”. Drugi leży w sposobie interpretowania treści. I teraz, gdy w ciągu ostatnich dwóch lat obejrzałem kilka inscenizacji Bałuckiego, widzę, że rację jednak miał Teatr Nowy w Poznaniu, stosując jakby gombrowiczowski klucz do swego „Domu otwartego”. Wtedy, dwa lata temu, gdy pisałem o owym przedstawieniu, krzywiłem się na pretensjonalność pożyczek, teraz jednak gotów jestem odwołać własne słowa.

CZYTAM listy pana Michała do swych dwóch przyjaciół, aktorów: Wincentego Rapackiego i Władysława Wojdałowicza. Wydał je przed sześciu laty Państwowy Instytut Wydawniczy w wyborze i opracowaniu Danuty Szczęsnej. Aż się wierzyć nie chce, że te dziesiątki komedii wydał, mówiąc z warszawska, taki mantyka, stękać i straszliwy centuś. Jesteśmy jednak w Krakowie. Ta spowiedź, bo przecież w onych czasach listy były formą spowiadania się przyjaciołom i bliskim, pokazuje nam człowieka zgryźliwego, okropnie oceniającego bliźnich i nieustannie obliczającego zarobki, których zawsze mu było za mało. A przecież wystawiał wiele. W Krakowie, Lwowie, Warszawie, w Berlinie i Wiedniu. Lepiej od niego zarabiał w tamtym czasie tylko Anzyc.

Małżonki wziął też raczej niebieczne. Pierwsza, Kaliksta Cwiklińska, była primadonną operetki krakowskiej. Druga Eufemia Słowińska, córką zamożnego rzemieślnika. Ożenił się zresztą późno, do pierwszego małżeństwa szedł, gdy dobijał już czterdziestki. Trwało ono, bardzo szczęśliwie, zaledwie rok a zakończyło się przedwczesną śmiercią młodej żony. To nieszczęście jeszcze bardziej pogłębiło nerwicę i nadszarpnęło kondycję psychiczną Bałuckiego. Obecnie psychiatrzy określiliby zespół jego chorób jako stan depresyjno-maniakalny.

I dlatego smutne są właściwie te jego listy, jak mimo wszystko niewesołe było to życie. W ciągłym, chciałoby się powiedzieć, stresie, w nieustannym podrażnieniu. Te stany z upływem lat pogłębiły się jeszcze na skutek zaniku powodzenia jego sztuk u publiczności i u dyrektorów teatrów. Do głosu zaczęły dochodzić nowe prądy estetyczne. W literaturze zapawała moderna. Bałuckiemu trudno było pojąć i zaakceptować owe zmiany. Był po sześćdziesiątce, gdy pałnął sobie w łeb na Krakowskich Plantach. Dwa kroki od teatru Słowackiego.

RYSZARD KOSIŃSKI